

Na przełomie wieków XX i XXI próbowałem zakotwiczyć się w Izraelu, zapuścić ewentualnie korzenie. Złożyłem do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Izraela stosowne dokumenty i czekałem na decyzję w ramach „absorbacji” i „prawa powrotu”. W tym czasie mieszkałem spokojnie na terenie Hajfy, Jerozolimy i Palestyny.

Pierwsze moje zderzenie z Izraelem było porażające. Po miesiącu zamieszkiwania w mieście Hajfa zapytałem mojego przyjaciela, ministra rządu Izraelskiego: „Gdzie są Żydzi? Co się z nimi stało? Dlaczego żadnego nie spotkałem na ulicy, w sklepie, biurze, plaży?”

Na ten temat pisałem już na tej stronie parę lat temu – Pan minister potwierdził moje rozterki i podejrzenia, że wszyscy Żydzi wyjechali z Izraela, a w ich miejsce przyjechali przypadkowi turyści.

Przyjaciół minister nauczył mnie, jako chwilowy Rabin, czyli nauczyciel, że Państwo Izrael zostało uformowane z przypadkowych Żydów, pół-Żydów i nie-Żydów ze 180 krajów świata. Skorzystali oni z prawa absorbacji i prawa powrotu, i zamieszkali w przyjaznym państwie Izrael, za pieniądze Izraela, robiąc za tak zwanych Żydów, w większości nie mając z Żydami nic wspólnego. Dlatego na ulicy widziałem wszystkie kolory skóry, rodzaje wzrostu, wielkość głowy, jej kształtu. Głowy te mówiły też różnymi językami.

Przerażeniem napawał mnie fakt, że podstawowym językiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w rozmowach potocznych był język rosyjski, a za biurkami siedzieli byli agenci KGB, pochodzenia rzekomo Żydowskiego.

Ja pojechałem do Izraela w poszukiwaniu Ziemi Obiecanej a znalazłem melanz narodowościowy mówiący po rosyjsku, a więc w języku moich wrogów, bandytów i okupantów.

To nie była moja Arka Przymierza.

W Hajfie mieszkałem w dzielnicy ortodoksyjnej, w domu Rabina Rubinsztajna, sędziego Sądu Rabinackiego. Klasyczny dom Żydowski, prawdziwy i pejsaty, i koszerny. Przyjechała do mnie koleżanka, Żydówka, nastolatka typu normalnego, czyli modern Żydówka, pochodząca z Tel-Awiwu. Poszliśmy na spacer po wzgórzach ortodoksyjnej części Hajfy, gdzie mieszkają tylko pejsaci Żydzi.

Koleżanka była w długich, skromnych, traperskich szortach z rozpuszczonymi włosami i z makijażem skromnym. Wiedzieliśmy, w jakiej dzielnicy jesteśmy i nie chcieliśmy nikogo prowokować i obrażać.

Po paru minutach pojawiły się grupy małych pejsatych dzieci i zaczęły nam ubliżać i pluć na nas. Po chwili z balkonu pobożna Żydówka rzuciła w nas doniczką, a z okolicznych kamienic wyszli mężczyźni pejsaci różnego wieku i zaczęli rzucać w naszym kierunku kamieniami, krzycząc inwektywy. Chcieli nas ukamieniować za szorty mojej koleżanki Żydówki modern z Tel-Awiwu.

Po tym zdarzeniu czara się przepełniła i postanowiłem wycofać dokumenty dotyczące absorpcji i prawa powrotu.

Okazała się to nie możliwe i wzbudziło agresję władz, naturalnie jedynie słowno-obraźliwe.

Powodem ucieczki mojej z Izraela byli również ludzie, biznesmeni, policjanci, żołnierze, politycy, bankierzy. Ich życiorysy przeszłe, aktualne, sposoby robienia szemranych interesów, permanentnie od świtu do nocy nastawionych li tylko i wyłącznie na wykorzystaniu słabości bliźniego w jakiś sposób korespondują z opowieścią o zacnym Panu Józiu z gazety Newsweek, i sam nigdy lepiej bym nie wypośrodkował i nazwał cech mieszkańców Izraela z pograniczu prawdy, hucpy, zagubienia i pogoni za mitycznym pieniądzem, gdzie jednostką jest minimum milion dolarów, a wagą kontener 1 sztuka – naturalnie w chorobliwej naiwności, i agresji z niej wynikającej.

Józio i ziemia obiecana

Wpisany przez Reb. Janusz Baranowski

Wtorek, 18 Lipiec 2017 11:38 - Zmieniony Środa, 26 Lipiec 2017 08:09

Fajnie, że dzięki Newsweek'owi poznałem zanego Pana Zyda Józia, gdyż ła mi się zakręciła nad jego losem, którego nie jest w stanie on już cofnąć, gdyż jest za stary i jest skazany na Izrael i dokończenie swych dni w mitycznej „Nowej Ojczyźnie”.

W Izraelu zrozumiałem, że jestem Polakiem, a moja ukochaną ojczyzną jest Polska, a ziomalami przepiękni duchowo Polacy, jednorodni w urodzie i kolorze.

Uciekłem z Ziemi Obiecanej i żyję w Polsce jako Polak pochodzenia Tatarsko-Polsko-Żydowskiego, z dziada pradziada i nie jestem skazany aby skończyć jako Jasiu, Heniu, Józiu w coraz bardziej muzułmańskim Izraelu.

Alleluja i Szalom Alejkum

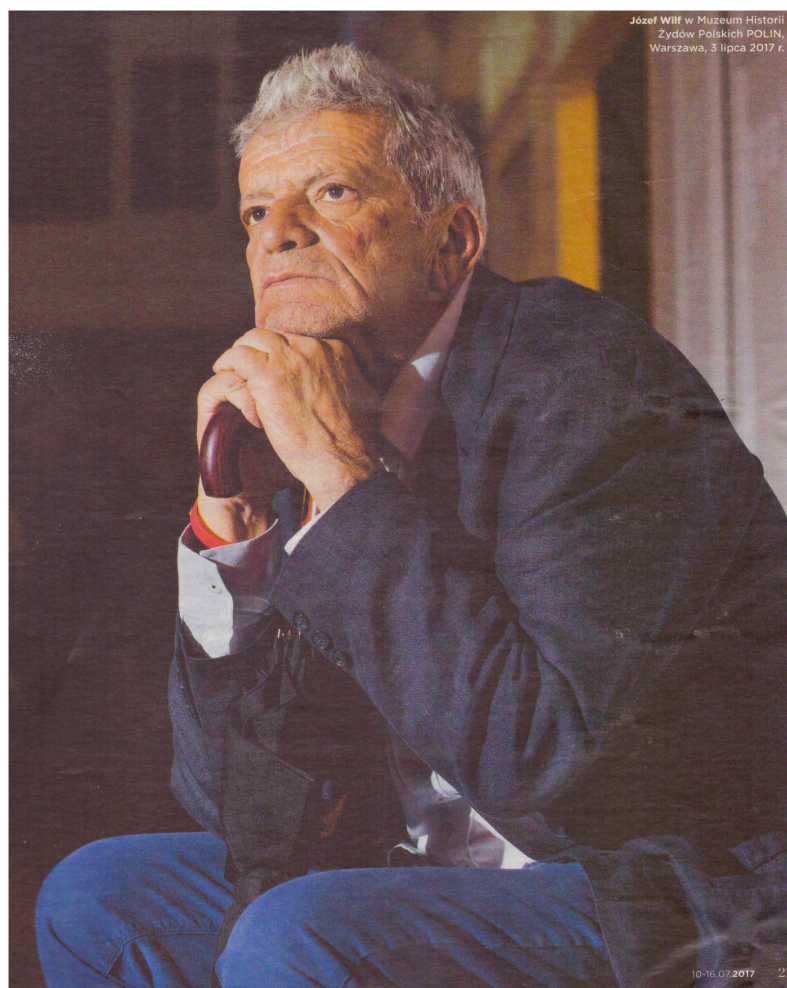
Janusz Baranowski

Zapraszam do przepięknej opowieści prawdziwej (!) o prawdziwym , zagnym Panu Józiu co Żydem jest...

HISTORIA ŻYDOWSKIEGO CHŁOPCA: JÓZIO WRÓCIŁ DO DOMU

TEKST: RENATA KIM; ZDJĘCIE: AREK MARKOWICZ; Newsweek, nr 29/2017, 10-16.07.2017 r.

Kiedy siedział w niemieckim więzieniu za handel haszyszem, psycholog powiedział mu, że wszystkie jego nieszczęścia są przez dwa zdarzenia z dzieciństwa. Kiedy dzieci go pobiły w Wałbrzychu za to, że był Żydem. I gdy dzieci w Izraelu szydziły, że nie jest obrzezany



Ja jestem Józio - przedstawia się Józef Wilf. Ma 63 lata, właśnie po ponad pół wieku wrócił z Izraela do rodzinnego Wałbrzycha i zadzwonił do domu przy ul. Langer 3, w którym kiedyś

Józio i ziemia obiecana

Wpisany przez Reb. Janusz Baranowski

Wtorek, 18 Lipiec 2017 11:38 - Zmieniony Środa, 26 Lipiec 2017 08:09

mieszkał.

- Ja jestem Wiesław - odpowiada starszy mężczyzna, który otworzył mu drzwi.

- W 1957 r. ja tutaj mieszkalem - oznajmia z uśmiechem Wilf.

- W tym moim mieszkaniu? - dziwi się mężczyzna.

- Nie w twoim. Ty mieszkasz w moim - prostuje Józef.

- Ty mieszkałeś w państwowym, ja mieszkam teraz w swoim własnym. Kupilem, od państwa - tłumaczy Wiesław.

I kiedy wydaje się, że za chwilę dojdzie do spięcia, Józio kiwa pogodnie głową i niespieszony wchodzi do mieszkania. Zagląda we wszystkie kąty i cieszy się jak dziecko, dziękuje gospodarzom, że „otworzyli przed nim drzwi i serca”. - Ja wiem, że ludzie się boją, kto on jest, czego chce, może jeszcze schował pieniądze pod podłogą. Ale nie, nie schowaliśmy nic - zapewniał. - Wow, dziękuję.

JÓZIO Z WAŁBRZYCHA

Taką sceną kończy się film dokumentalny „Józio, chodź do domu” w reżyserii Marcina Chłopasia, dziennikarza portalu TVN24.pl. Chłopaś poznał swojego bohatera sześć lat temu w Izraelu, Józef Wilf był jego przewodnikiem. Zachwycił go swoją żywiołowością, pogodą, dowcipem, ale przede wszystkim opowieściami. O Izraelu i o Polsce, z której wyjechał razem z rodzicami i rodzeństwem w 1957 r. Antysemicka nagonka wypędziła wtedy z kraju ok. 50 tysięcy Żydów.

9-letniego wówczas Józia dotknęła ona okrutnie: w Wielką Sobotę wybrał się ze swoim przyjacielem Piotrusiem na święcenie jajek. I usłyszał od stojącego przed kościołem nauczyciela religii, że nie może wejść, bo jest Żydem. Nie wiedział, co to znaczy - chodził przecież na religię, umiał odmówić „Ojcze nasz”. A teraz wszystkie dzieci zaczęły szeptać: Żyd, Żyd. Śmierdzisz.

- A jak wyszli z kościoła, to mnie pobili. Bum, bum, bum. Byłem mały, chudy, może dwa kilo ważyłem, a oni bili tak, że krew mi z nosa poleciała. Uciekłem. Mama na mój widok załamała ręce. Kiedy tato wrócił do domu, od razu mu oświadczyła: „On już więcej nie pójdzie do szkoły” - wspomina Józio w filmie. A potem rodzice ustalili: jadą do Erec, do Izraela.

Wyjechali półtora miesiąca później. Ale wcześniej Józio próbował przekupić kolegów. Znalazł w domu wszystkie kupione przed podróżą dolary i wyrzucał je z okna na podwórko w nadziei, że dzieci przyjdą się z nim pobawić. - Żeby nie były złe, że jestem Żyd. Wow - Józio płacze, kiedy o tym opowiada. Nie przyszły.

Izrael przywitał ich surowo: dwa pokoje w baraku dla imigrantów, żelazne łóżka, cienkie materace, niewielkie szafy. Mama chciała wracać, z trudem dała się przekonać, że to będzie teraz ich dom. Bała się o syna, ciągle wołała: „Józio, chodź do domu”.

- W barakach wszyscy wołali na mnie: „Chodź-do-domu”. Dwa lata tak się nazywałem. Mama nie była całkiem normalna, ona przeżyła Holokaust, była w Auschwitz. Co noc płakała, we śnie słyszała stukot niemieckich butów. Trzymała w szafie jedzenie: 200 kilo cukru i puszki mięsa na czarną godzinę. Bo nigdy nie wiadomo, kiedy Niemcy wrócą - opowiada Wilf.

Na szczęście nie mieszkali w barakach długo, przygarnął ich wujek, który wyjechał z Polski już w 1948 r. Ojciec zaczął pracować, kupili własne mieszkanie, Józio szybko nauczył się hebrajskiego. Jego młodsze rodzeństwo, siostra i brat, szybko zapomnieli język polski.

ZA KAŻDYM RAZEM INNY

Kiedy Józio miał 15 lat, dowiedział się, że w Izraelu też nie jest u siebie. Razem z klasą był w

kibucu, pracowali w gaju pomarańczowym, a wieczorem wszyscy poszli do łaźni. - Ja wychodzę spod prysznica z ręcznikiem, jeden patrzy na mnie, woła drugiego, trzeciego, zaczynają gadać. Śmieją się, jeszcze nie wiem dlaczego. Co ty tu masz? Ja się patrzę, ja nie mam to samo, co cała klasa. Ja nie byłem obrzezany! Ty jesteś szpion, mówią. Ty nie jesteś Żyd. Jak to nie? Ja wyjechałem z Polski, bo jestem Żyd - Józio znowu płacze.

- Nikt nie chciał ze mną mówić, nawet nauczyciel. Ja też chciałem wrócić do Polski. Ja nie chcę żyć! - krzychałem i biłem mamę. Podniosłem skórkę i przykleiłem ją gumką, żeby wyglądać jak inni. Ale gumka zawsze spadała - Józio ociera łzy.

Rodzice uspokajali: można zrobić operację. Pojechali na obrzezanie do Beer Szewy, 100 kilometrów od domu. Przenieśli syna do innej szkoły. I od tej pory, jak ktoś pytał, czy to prawda, że nie jest obrzezany, pokazywał, że nieprawda. Jest.

- To historia o wielu znaczeniach, ale dla mnie najważniejsze jest to, które opowiada o odrzuceniu - tłumaczy reżyser dokumentu. - O tym, jak społeczeństwo potrafi w absurdalny sposób wykluczyć człowieka nie ze względu na to, jaki on jest, tylko ze względu na cechy, których on sam ani nie wybierał, ani nie są dla niego najważniejsze. W Polsce Józio jest odrzucony z powodu antysemityzmu, ale w Izraelu dlatego, że nie spełnia warunków żydostwa - mówi Marcin Chłopaś. Uważa jednak, że to uniwersalna historia, mogłaby się zdarzyć wszędzie.

Kiedy poznał Józia, od razu pomyślał, że jego życie to materiał na film. - Wiedziałem, że jest tematem, tylko nie miałem pojęcia jakim. Ale oczywiste było, że Józio to fascynujący bazarz, wystarczy nakręcić, jak opowiada o sobie i będzie samograj. Polski Żyd, który musiał wyjechać z Polski. A potem pomyślałem, że gdyby udało się go ściągnąć do Wałbrzycha, wyszłaby mocna historia - tłumaczy.

Miał szczęście, bo wkrótce potem Józef Wilf pojechał jako tłumacz na konferencję naukową do Berlina. Chłopaś odebrał go z Niemiec i przywiózł do Polski. A on przez całą drogę opowiadał do kamery o swoim życiu.

O tym, że jego tata, który był w Polsce blacharzem, w Izraelu robił rury doprowadzające klimatyzację i stał się bogaty. Chciał kupować ziemię, ale mama nie pozwalała: „Ziemia nic nie jest warta, jak trzeba uciekać. Lepiej zbieraj dolary”.

O tym, że po szkole był w wojsku, „całkiem udanym żołnierzem”. W czasie wojny sześciodniowej w 1967 r. walczył na Synaju, zajmował Strefę Gazy, a po wojnie został ochroniarzem różnych ważnych ministrów. Ze pojechał do Niemiec uczyć się na inżyniera, ale po kilku miesiącach zgłosił się do niego Mosad, zaproponował szkolenie, a potem stanowisko głównego ochroniarza linii El Al we Frankfurcie.

I o tym, że w październiku 1973 r. znowu wezwało go wojsko, bo połączone siły Egiptu i Syrii najechały na półwysep Synaj i Wzgórza Golan. Izrael odparł atak i wygrał wojnę Jom Kippur, a Józio wrócił do Niemiec, do pracy w El Al. I za namową przyjaciela zaczął przemycać haszysz z Indii do Niemiec. Świetnie mu szło, ale za którymś razem wpadł w zasadzkę i został zatrzymany na lotnisku. Wyrok: trzy lata więzienia. Odsiedział całość, a mama ani razu go nie odwiedziła. Mówiła, że nie może postawić nogi na niemieckiej ziemi.

Któregoś dnia więzienny psycholog powiedział mu, że wszystkie jego życiowe nieszczęścia były przez dwa zdarzenia z dzieciństwa. Jak go pobiły polskie dzieci przed kościołem w Wałbrzychu, a potem kiedy stał w łaźni przed żydowskimi dziećmi. I za każdym razem był inny.

- Nakręciłem tę opowieść w 2011 r., jadąc z Józiem samo- chodem z Niemiec do Polski. Ale nawet wtedy nie rozumiałem, o czym ona będzie. Materiał przeleżał kilka lat na półce, nie bardzo wiedziałem, co z nim zrobić. I dopiero kiedy właściwie wszędzie na świecie zaczęły się nasilać napięcia na tle rasowym i narodowościowym, przypomniałem sobie o nim. Zacząłem montować, skracać, wyrzucać niektóre wątki. I dotarło do mnie, że ten film będzie o czymś ważnym - mówi Marcin Chłopaś.

Z historii Józia wypadły wojenne przygody, narkotyki i trzy małżeństwa. Zostały za to moment przejazdu przez granicę niemiecko-polską i reakcja Józia. - Czuję to w dupie, jak się trzęsie auto. Dupa siedzi mniej wygodnie niż w Niemczech. Ale teraz się czuję w Polsce. Pamiętam dom, szkołę, drogę do stadionu Górnika Wałbrzych - ekscytował się.

Jest też opowieść o jagodach, za którymi Józio tęsknił. - Zbieraliśmy w lesie takie czerwone, małe, prawie czarne. Mama mówiła: „Uważaj, Józio, to nie schodzi w praniu”. Wszystko jest w Izraelu, tylko tego nie ma. Pięćdziesiąt lat nie kosztowałem jagody. Wow! - szalał z zachwytu, kiedy okazało się, że w samochodowym schowku jest dla niego słoiczek jagodowych konfitur. I już planował, że w domu naleje trochę soku na koszulę, by sprawdzić, czy schodzi.

Nie sprawdził, bo słoiczek zabrali mu na granicy niemieccy celnicy. Wysłał potem Marcinowi Chłopasiowi SMS: „Njemcy cholera took my dear Jagoda verboten chuj”.

JESTEM WZRUSZAJĄCY

– MÓWIŁ - WZRUSZONY, JÓZIU - POPRAWIALI GO. - Z WAMI CZUJE SIE NAJLEPIEJ, OD DZISIAJ MACIE OBRZEZANEGO PRZYJACIOŁA

O samym filmie właściwie nie rozmawiają. Kiedy Józio zobaczył go po raz pierwszy, napisał tylko krótko: „bardzo ruszający”. – Rozmawiamy o projekcjach, o spotkaniach z widzami. On mi nieustannie powtarza: „to dzięki tobie, dzięki tobie”. Ale ja myślę, że to, iż ludzie, oglądając dokument o życiu Józia, śmieją się i płaczą, to głównie zasługa jego osobowości. A mnie tylko udało się doprowadzić do jego spotkania z Polską. Bo on jest reprezentantem społeczności, która była częścią polskiego narodu, a potem zniknęła. To trochę tak, jakby człowiekowi odcięto rękę albo nogę. Da się żyć, można się do straty przyzwyczaić, ale czegoś brakuje - mówi Chłopaś. Cieszy się, że udało mu się namówić Józia, by jeszcze raz przyjechał do Polski, na oficjalną premierę filmu. Na spotkania w Krakowie i w Warszawie przyszły tłumy. Z wszystkimi witał się jak z przyjaciółmi, ścisnął i całował.

- Jestem wzruszający - mówił.

- Wzruszony, Józiu - poprawiali go.

- Z wami czuję się najlepiej, jesteście moi młodszy bracia w wierze, od dzisiaj macie obrzezanego przyjaciela - zapewniał i rozdawał swoje wizytówki.

Język polski zaczął sobie przypominać dopiero, kiedy został przewodnikiem polskich grup. Wcześniej przez kilkanaście lat, jakie minęły od śmierci ojca, wcale go nie używał, ale słowa, a potem całe zdania, zaczęły wracać szybko. Niepoprawne, poprzekręcane, czasem zabawne, jak wtedy, gdy Józio opowiada, że był „użelażniony” od narkotyków. - Ale już od 31 lat i 7 miesięcy nie jestem, zmartwychwstałem - zaznacza.

O tym, jak się uzależnił, opowiada bez wstydu. To było tak: w 1977 r. wrócił z Niemiec do Izraela, zamieszkał na Synaju, ożenił się ze znaną w Izraelu piosenkarką. Woził jej przyjaciół artystów na występy i to oni dali mu pierwszą kreskę kokainy.

I wtedy zrozumiał, co to znaczy być królem świata. Chciał to poczuć częściej, więc zaczął brać regularnie. Sprzedał wszystko, co miał i zajął się handlem kokainą. I znowu wpadł, poszedł do więzienia. Żona nie czekała, aż wyjdzie.

Znalazł sobie kolejną, urodziło mu się dziecko. Razem ze współnikami otworzył dyskotekę w Hajfie. Niestety, szybko padła, a on został z długami. Jeszcze raz spróbował handlu narkotykami i jeszcze raz trafił do więzienia.

Kiedy wyszedł, został przewodnikiem. Lubi tę pracę i ludzie jego lubią. Raz tylko, całkiem niedawno, miał nieprzyjemną sytuację: polski turysta zapytał go, dlaczego zabił Jezusa. - Aż mu się farba na twarzy zmieniła. To ja mu powiedziałem, że nie zabiłem, bo byłem chory w tym dniu. Ale już wiedziałem, że on nie jest jedyny. Dużo ludzi myśli, że ja jestem winny. Tylko dlatego, że ja jestem Żyd, a Żydzi zabili Jezusa - opowiada.

Od kiedy oprowadza rodaków po Izraelu, zaczął tęsknić za Polską. - Jak pierwszy raz powiedziałem po polsku: „Dzień dobry, co słychać?”, byłem zachwycony. I pomyślałem, że chętnie bym odwiedził Wałbrzych. Nie wiem, dlaczego wcześniej tam nie byłem. Może dla- tego, że nie szukałem Polski, tylko kokainy. Potem się rozwodziłem, nie miałem pieniędzy, trzeba było płacić alimenty. A teraz coś ciekawego się stało. Mama nigdy mi się nie śniła, chociaż wiele razy ją błagałem, by mi się pokazała. A jak pojechałem do Krakowa, to przyszła. Krzyczała: dlaczego wcześniej tu nie byłeś?

W KOŃCU SIĘ ZNALAZŁ

POLSKI TURYSTA ZAPYTAŁ GO, DLACZEGO ZABIŁ JEZUSA. - TO JA MU POWIEDZIAŁEM, ŻE NIE ZABIŁEM, BO BYŁEM CHORY W TYM DNIU. ALE JUŻ WIEDZIAŁEM, ŻE ON NIE JEST JEDYNY

Jak tak teraz ogląda ten film o sobie, to z jednej strony się cieszy, że wyjechał z Polski, że był izraelskim żołnierzem, że walczył za swój kraj, że go budował. - A z drugiej strony myślę, że gdybym tutaj został, to może bym skończył jakieś studia, kimś bym został, miał inne życie. Przedstawiam se różne sceny. Ale bardzo się cieszę, że teraz mogę być tutaj. Że rozumiem, co ludzie rozmawiają, że czuję się u siebie. Gdzie indziej ludzie dają mi czucie, że jestem obcy. A tutaj należę, takie czucie mi dają Polacy - mówi.

- Józio jest z pozoru chaotyczny, szalony, ale w głębi jest bardzo poukładany, pogodzony ze swoim życiorysem, bogatym i barwnym. Niczego się nie wstydzi, choć jemu wyrządzono wiele krzywd, a i on niejedną osobę skrzywdził. Potrafi cieszyć się życiem i inspirować innych. On jest jak dziecko, z każdej naj- drobniejszej rzeczy wyciska wszystko, co się da - mówi Marcin Chłopaś.

Dla swojego bohatera przygotował niespodziankę: przy pomocy dziennikarki z Wałbrzycha Elżbiety Węgrzyn odszukał Piotrusia, jego przyjaciela z dzieciństwa. Zadzwoił do niego i namówił, by przyjechał do Krakowa na premierę filmu. Piotr Stefański przywiózł na spotkanie wyblakłą fotografię zrobioną wiosną 1957 r. Na tle wałbrzyskich kamienic stoi 9-letni chłopiec, na odwrocie dedykacja: „Najmilszemu koledze, Józio Wilf”.

Józio na początku nie wiedział, co to za mężczyzna. Kiedy zrozumiał, zgiął się wpół i przez dłuższą chwilę milczał. - W końcu się znalazł - wyszeptał do siebie, a potem już do przyjaciela, z radością: - Jakbyś był niski, tobyś się nie znalazł. Ile razy ja w marzeniach widziałem to spotkanie. On był dla mnie wszystkim: kolegą, rodziną, wszystkim. Bez niego bałem się ruszać. Ja byłem bojący, on więcej bohaterski. My byliśmy nie do rozłączenia. W szkole razem, potem odrabialiśmy lekcje, potem na podwórku i znowu wieczorem w domu. Ja i on to był jeden. Wow - opowiadał i płakał.

A potem poszli do restauracji, usiedli w kącie i płacząc, opowiadali sobie o swoim życiu: że Piotruś ma dwóch dorosłych synów, był inżynierem, a teraz jest na emeryturze. A Józio miał trzy żony i pokręcone życie. I w kółko powtarzali, jak to dobrze, że się w końcu znaleźli.

- Moi rodzice szukali go pięć lat dla mnie, pisali do sąsiadów, ale nie odpowiedzieli. I potem ja, idiot, szukałem Pietruś Czosnek, bo myślałem, że mój przyjaciel tak się nazywa. Nie wiem, dlaczego ja tak myślałem, ale nie ma viagry na pamięć, jeszcze nie wymyślili. Pietruś też błagał swoją mamę, że chce jechać tam, gdzie Józio. Powiedziała mu, że to daleki kraj, nie mają pieniędzy na bilety - wzdycha.

Piotr Stefański nie pamięta tego błagania, wydaje mu się, że Józiowi coś się pomyliło. Albo może jego rodzice w ten sposób próbowali go uspokoić. Ale wszystko inne to prawda, strasznie przeżywał jego wyjazd. - Jakby mi brat wyjechał, taka pustka została. I teraz go znowu mam - mówi. O tym, że Józio jest Żydem, dowiedział się dopiero z filmu. - Jak opowiadał o swoich rodzicach, którzy stracili w Holokauście bliskich, przeżyłem traumę. Nie miałem o tym wszystkim pojęcia.

Obiecali sobie, że będą do siebie pisać. I że znowu się zobaczą. Bo Józio zapowiedział, że będzie wracał do Polski, jest tu u siebie. Ale już wie, że jego dom jest w Izraelu, tam przynależy. - Jestem Izraelczyk z wiarą żydowską. Nie najlepszy, nie za bardzo religijny. Ta kanapka, którą jem w filmie, jest niekoszerna.

renata.kim@newsweek.pl